

Magdalena Dudkiewicz
Uniwersytet Warszawski

Dylematy etyczne badań prowadzonych na zlecenie instytucji publicznych – doświadczenia badacza terenowego

Abstrakt Artykuł prezentuje doświadczenia i obserwacje dotyczące pozytywnych i negatywnych uwarunkowań zaangażowania przedstawicieli nauk społecznych w badania prowadzone na zlecenie publicznych instytucji w Polsce. Omówione zostały problemy związane z jednoznacznym zdefiniowaniem roli badacza w takich projektach, odpowiedzialności za podejmowane działania oraz ograniczania swobody badawczej. Autorka prezentuje dylematy dotyczące relacji ze zleceniodawcą oraz z badanymi, a także niejasny status badania naukowego w projektach prowadzonych przez instytucje publiczne. Zaprezentowane zostały także argumenty za i przeciw, które mogą stanowić przyczynek do dyskusji o tego rodzaju zaangażowaniu ludzi nauki.

Słowa kluczowe instytucja publiczna, społeczna rola naukowca, relacje badacza z badanymi

Magdalena Dudkiewicz, dr hab. socjologii, adiunkt w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w problematyce organizacji pozarządowych, animacji kultury, pracy socjalnej oraz metodologii badań jakościowych. Ekspert Instytutu Spraw Publicznych, sekretarz redakcji kwartalnika „Trzeci Sektor”. Autorka książek *Technokraci dobroczynności. Samoświadomość społeczna pracowników organizacji pozarządowych w Polsce* (2009) oraz *Populiści dobroczynności. Medialne informowanie o pomaganiu* (2013).

Adres kontaktowy:

Instytut Stosowanych Nauk Społecznych
Uniwersytet Warszawski
ul. Nowy Świat 69,00-046 Warszawa
e-mail:madud@gazeta.pl

Celem niniejszej publikacji jest podzielenie się poczynionymi przez mnie w ciągu ostatnich lat doświadczeniami i obserwacjami, które prowadzą do nieco uogólnionego wniosku, że co prawda wielu badaczy społecznych podejmuje się prowadzenia badań na zlecenie instytucji publicznych, jednak niektórzy czynią to niejako bezrefleksyjnie. Takie badania przez przedstawicieli nauk społecznych traktowane są niekiedy li tylko jako sposób na zarobienie pieniędzy, ewentualnie na uzyskanie możliwości opublikowania swoich badań, a nawet po prostu ich sfinansowania. Tego rodzaju motywacji w żadnym razie nie uważam za naganną, jednakże, jak wynika z moich obserwacji, udział w tego rodzaju przedsięwzięciach badawczych wymaga szczególnego rodzaju wrażliwości i ostrożno-

ści, której, jeśli mamy do czynienia jedynie z motywacją stricte finansową, zwyczajnie może zabraknąć. Badania na zlecenie instytucji publicznych na stałe wpisały się w naszą rzeczywistość społeczną, w znacznej mierze dzięki napływowi unijnych pieniędzy; kolejna perspektywa finansowa Unii Europejskiej zapewne ten rodzaj aktywności badaczy społecznych jeszcze utrwali. W tym kontekście warto przyjrzeć się blaskom i cieniom takiego zaangażowania. W swoim artykule z pewnością nie uda mi się zawrzeć prostych i uniwersalnych zasad, jednak ważne wydaje mi się już samo postawienie pytań i zarysowanie dylematów.

Co to są badania na zlecenie?

Zawarte w artykule refleksje stanowią pokłosie badań, w których uczestniczyłam w ramach trzech projektów:

- projekt systemowy do działania 5.4 Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki, pn. *Tworzenie i rozwijanie standardów pomocy i integracji społecznej – Standardy w pomocy* (2010–2014);
- projekt innowacyjny pn. *Pomosty. Budowanie kapitału społecznego młodzieży ze środowisk wiejskich Warmii i Mazur*, współfinansowany przez Europejski Fundusz Społeczny na potrzeby Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki (2012);
- projekt pn. *Innowacyjny system wsparcia rozwoju ekonomii społecznej na południowym Mazowszu oraz w subregionie ostrołęckim*, prowadzony przez Fundację Skarbu Państwa Fundusz Współpracy (2013).

Używając bardzo ogólnego i pojemnego określenia „badania na zlecenie”, mam na myśli tylko jeden rodzaj ich zleceniodawcy, a mianowicie badania prowadzone dla różnych instytucji publicznych, takich jak ministerstwa, podmioty będące elementem określonego systemu publicznego (np. pomocy społecznej) czy władze samorządowe – czasem w roli niejako pośredniczącego zleceniodawcy występują tu podmioty komercyjne lub społeczne (np. organizacje pozarządowe typu *think-tank*). W swoim artykule nie odnoszę się do zlecanych badań o charakterze rynkowym, czy wręcz po prostu marketingowym, przede wszystkim dlatego, że nie mam tego rodzaju doświadczeń. Badania, w których miałam okazję uczestniczyć, były prowadzone w praktycznych celach diagnostycznych, które w pewnym uproszczeniu można zakwalifikować do trzech podstawowych grup:

- badania prowadzone dla rozpoznania sytuacji społecznej w konkretnych grupach lub środowiskach lokalnych, po to, by następnie określić kontekst podejmowanych w nich działań – to badania o charakterze raczej ogólnym, mają na celu dobór odpowiednich grup do realizacji projektu albo ogólne zorientowanie się co do sposobu postępowania jakichś zjawisk, na przykład w jakiejś istotnej ze względu na prowadzone działania grupie zawodowej;
- badania prowadzone w celu bieżącego monitorowania prowadzonych przez zleceniodawcę działań, po to, by ewentualnie możliwe były ich bieżące korekty;
- badania prowadzone w celu kontroli lub ewaluacji prowadzonych przez zleceniodawcę działań,

przy czym chociaż znacznie częściej używane jest określenie ewaluacja, niestety często dzieje się to bez faktycznego zrozumienia instytucji zlecających badania, czym w rzeczywistości jest ewaluacja; w efekcie pojawia się oczekiwanie od realizatorów badania raczej działań kontrolnych niż ewaluacyjnych (Olejniczak 2008: 21–22). Takie badania najczęściej prowadzone są po to, by możliwe było opracowanie raportów dokumentujących prowadzone przez zleceniodawcę działania.

Należy podkreślić, że wskazane powyżej rodzaje badań w praktyce bywają często mieszane w ramach jednego projektu badawczego. W artykule nie chodzi jednak o precyzyjne rozróżnienie podejść metodologicznych, lecz o wskazanie najważniejszych, w znacznym stopniu uniwersalnych problemów i dylematów, które wynikają z faktu prowadzenia badań na zlecenie instytucji publicznych.

Dylemat pierwszy: kim my jesteśmy?

Badania, w których miałam okazję uczestniczyć były przez instytucje publiczne zlecane jako jeden z elementów prowadzonych przez nie projektów, zwykle o charakterze innowacyjnym lub wdrożeniowym. Prowadzenie badań jest najczęściej po prostu wymogiem instytucji finansujących cały projekt, na przykład instytucji europejskich. Właśnie z tego powodu do udziału w takich przedsięwzięciach zapraszani są przedstawiciele nauk społecznych, w tym socjologowie, politolodzy czy kulturoznawcy. I tu powstaje pierwszy istotny dylemat, w jaki naukowcy automatycznie wklajają się, przyjmując tego rodzaju zlecenia. Badanie nauko-

we zakłada swego rodzaju „czystość ideologiczną” – badacz nie powinien zakładać, co w badanej rzeczywistości społecznej jest dobre, a co złe, powinien po prostu szukać odpowiedzi na pytanie, jak jest. Tylko tyle i aż tyle. Badanie naukowe wymaga starannie przygotowanej metodologii, która nie będzie podczas badań zmieniana, która stanowi stabilną, właśnie naukową ramę dla kolejnych podejmowanych czynności badawczych. Tymczasem, podejmując się badań na zlecenie konkretnej instytucji, prowadzącej konkretny projekt społeczny, który ma swoje cele – dodajmy zwykle bardzo jednoznacznie i restrykcyjnie owskaźnikowane (od ich realizacji często zależy dalsze finansowanie) – badacz staje się niejako zakładnikiem słuszności tych działań. To dylemat analogiczny do tego, z jakim do czynienia mieli w latach dziewięćdziesiątych twórcy kultury. Przez uwarunkowania społeczno-polityczne (zmiana systemu, starania o akces do UE) byli oni niejako zobligowani do „konstruowania kulturowych uzasadnień słuszności obranego kierunku transformacji” (Jawłowska 1998: 137). Badania na zlecenie powinny zatem wykazywać słuszność tego rodzaju przedsięwzięcia, co najwyżej dostarczać informacji pozwalających nieco je skorygować, jednak w zasadzie trudno wyobrazić sobie sytuację, w której badanie towarzyszące prowadzonym przez instytucję publiczną działaniom wykazałoby, że są one z gruntu niewłaściwe, nieskuteczne, czy nawet szkodliwe. Na szczęście w tak trudnej sytuacji nigdy się nie znalazłam, jednak sam fakt, że wolność badawcza jest w przypadku badań na zlecenie *ex definitione* ograniczona stanowi istotną trudność w pogodzeniu roli naukowca i uczestnika, współrealizatora projektu, którym badacz, chcąc nie chcąc, staje się, przyjmując takie zlecenie.

Osobna kwestia dotyczy paradygmatu, w obrębie którego realizowane są badania na zlecenie. Najogólniej można to określić trudnością, która wynika z przekraczania granic pomiędzy klasycznymi badaniami naukowymi a badaniami w działaniu, a nawet, co bardzo częste, badaniami aktywizującymi. Istotny problem, o czym się niejednokrotnie przekonałam, stanowią nie tylko zasadnicze różnice pomiędzy tymi podejściami, ale także samoświadomość badacza, który te granice przekracza. Z obserwacji wielu badań, nie tylko tych, w których bezpośrednio uczestniczyłam, wynika, że często dzieje się to niejako bezrefleksyjnie. Tymczasem różnice pomiędzy tymi dwoma paradygmatami ujawniają się na wielu poziomach, o których mowa będzie w dalszej części artykułu, niemniej najważniejsze i definiujące wszystkie kolejne dotyczą odmiennego wyboru tematu, charakteru zdobywanej wiedzy oraz celu badania, o czym była już mowa. Wolność badawcza zostaje ograniczona już na etapie wyboru tematu: w badaniach na zlecenie kluczowe jest poszukiwanie informacji w takim zakresie, jaki jest potrzebny zleceniodawcy, i raczej nie ma tu miejsca na swobodę badawczą, czy choćby podążanie za wątkami, które to badaczowi wydają się szczególnie godne uwagi. Zasadniczo odmienny jest charakter zdobywanej wiedzy: w obrębie empiryczno-analitycznego podejścia naukowego, przy zachowaniu dyscypliny naukowej, wszelkie formułowane hipotezy i koncepcje teoretyczne powinny legitymować się zebraną w toku badań dokumentacją, prowadząc badacza do uzyskania możliwie obiektywnej wiedzy, która jest wartością autoteliczną. Tymczasem paradygmat badań aktywizujących stawia raczej na podejście hermeneutyczne, które nie tyle musi legitymować się zebraną w toku badań dokumen-

tacją, co nastawione jest na rozumiejącą interpretację rzeczywistości. Tym samym zdobywana wiedza niejako z założenia jest relatywna i mocno podporządkowana potrzebom praktycznym, ma bowiem nie tyle odpowiedzieć na szeroko zakrojone pytanie „jak jest?”, ile pomóc w zdobyciu wskazówek, jak działać, co należy robić.

Dylemat dotyczący tego, kim jest badacz prowadzący badania na zlecenie ma charakter rudymenarny, wszystkie kolejne stanowią jego pośrednią lub bezpośrednio pośrednią konsekwencję.

Dylemat drugi: co my właściwie robimy?

Pierwsza konsekwencja wynikająca z konieczności pogodzenia ról, o czym była mowa powyżej, dotyczy tego, co tak naprawdę jako badacze społeczni robimy w ramach badań na zlecenie. Można odpowiedzieć, że po prostu badamy, w najprostszym rozumieniu tego słowa: zbieramy informacje i staramy się je interpretować. Jednak w praktyce nie jest to już tak oczywiste, badacze często wchodzą w rolę nieformalnych ewaluatorów, a nawet kontrolerów. Co gorsza, często bywają tak postrzegani przez badanych, zwłaszcza jeśli dla tych ostatnich oczywiste jest, na czyje zlecenie badania są prowadzone i jakie mogą mieć konsekwencje dla ich dalszego uczestnictwa w projekcie. Nieco łatwiej jest wtedy, gdy badanie ma na celu poszukiwanie materiału, który pomoże sformułować rekomendacje, mające na celu poprawę sposobu działania zlecającej je instytucji, jednak tutaj także pozostaje swoiste napięcie dotyczące głębokości ewentualnej krytyki, jaka w ramach zaleceń zostanie sformułowana przez badaczy. W jednym z badań, w których uczestniczyłam

od badaczy oczekiwano usunięcia (w publikowanej wersji raportu) wniosków dotyczących nieprawidłowości w działaniu instytucji, która prowadzi projekt. Zdając sobie sprawę z tego, że taki krok jest dla naukowca wielce wątpliwy etycznie, zdecydowano się jednak zrobić to ze względu na przekonanie o generalnej słuszności projektu oraz uzyskując zapewnienie, że nieprawidłowości w wewnętrznym postępowaniu będą eliminowane, a jedynie nie ujrzą światła dziennego. Dodatkową przesłanką było to, że celem badania nie było dowiedzenie się, jak funkcjonuje instytucja prowadząca projekt, a dane na ten temat zostały przez badaczy uzyskane niejako „przy okazji” (trzymając się ściśle zakresu zlecenia informacje te można było w ogóle w raporcie pominąć). Nie zmienia to jednak faktu, że zgoda na takie postępowanie oznaczała wybór tak zwanego mniejszego zła, gdzie większym kosztem byłoby upublicznienie wniosków o nieprawidłowościach, co mogło utrudnić dalsze działania projektowe zleceniodawcy.

Dylemat trzeci: relacja badacza z przedmiotem badania

Klasyczne badania naukowe zobowiązują badacza do zachowania dystansu wobec przedmiotu badania, z czego wynika kluczowa zasada jego nienaruszalności. Nieco kolokwialnie można powiedzieć, że im mniej badacza widać, im mniejsze skutki dla badanej rzeczywistości przynosi jego obecność, tym dla badania naukowego lepiej. Tymczasem prowadząc badania na zlecenie, badacz doskonale wie, że po pierwsze jego niewidoczność jest właściwie nieosiągalna: często przed badanymi, na przykład przedstawicielami instytucji musi się legitymować

różnego rodzaju zaświadczeniami uwiarygadniającymi go właśnie nie jako naukowca-profesjonalistę, lecz jako członka zespołu realizującego konkretny projekt, które tym samym w oczach badanych jednoznacznie definiują go jako przedstawiciela na przykład nadrzędnej instytucji. Po drugie, uczestnictwo w projekcie właściwie wymusza odrzucenie dystansu wobec przedmiotu badania, bowiem, jak było to już powiedziane, badania w projektach mają konkretny cel praktyczny i (co pozostaje z zgodzie z paradygmatem badań aktywizujących) zakładają działania na rzecz wprowadzania zmiany celowej przedmiotu badania i jego otoczenia, oczywiście przez zleceniodawcę zawsze konotowanej pozytywnie, jako polepszenie jego sytuacji.

Dylemat czwarty: jak zrealizować badania w zespole?

Trudności zaczynają się już na etapie konstruowania zespołu badawczego. Instytucje publiczne, realizujące badania za publiczne pieniądze, często zobowiązane są do przeprowadzenia przetargu, a przynajmniej konkursu, który ma za zadanie wyłonić badaczy. W konsekwencji często powstają zespoły osób, które wcześniej się nie znały, mają odmienne podejścia i doświadczenia badawcze (czasem pojawiają się osoby, które nigdy nie prowadziły badań naukowych) albo po prostu problemy z dopasowaniem się pod względem temperamentu i stylu prowadzenia badań.

Dla osoby kierującej takim zespołem stanowi to nie lada wyzwanie. Trudno byłoby sformułować uniwersalne recepty do zastosowania w takiej sytuacji, jednak wydaje się, że z pewnością warto pokusić się

o możliwie partycypacyjne podejście do wszystkich realizatorów badania: tytuły naukowe nie są w tym momencie najważniejsze, wynikająca z nich hierarchia, do której często afiliowani na uczelniach badacze są przyzwyczajeni, w tego rodzaju badaniach raczej utrudnia pracę. Kierowanie takim zespołem badawczym wymaga miękkiego podejścia – chcąc nie chcąc, trzeba się podjąć roli swoistego mediatora pomiędzy zleceniodawcą a realizatorami badań. Ten pierwszy oczekuje zwykle dyscypliny, szczególnie w odniesieniu do zapisanego w projekcie terminarza – bywa, że nawet niewielkie opóźnienia w tym zakresie powodują konieczność dokonywania istotnych zmian, koniecznie zatwierdzanych (często bardzo długo) przez zleceniodawców naszych zleceniodawców (czyli tych, którzy je ostatecznie finansują), a nawet przesunięć budżetowych. Co gorsza, sami zleceniodawcy często nie wywiązują się z ustalonych terminów, jednak, mimo że rozpoczęcie badań nie było możliwe na przykład ze względu na opóźnienie w dostarczeniu jakichś niezbędnych dokumentów, od zespołu badawczego oczekują dotrzymania pierwotnych terminów. W takich warunkach nie jest łatwo utrzymać dyscyplinę w zespole. A to tylko kwestia techniczna, tymczasem największe wyzwanie stanowi to, w jaki sposób naukowcom, którzy wchodzi w skład zespołu, pozostawić maksymalnie dużo swobody badawczej, a jednocześnie skłonić ich do poszukiwania informacji wymaganych przez zleceniodawcę. Tu również pomocne okazują się z jednej strony umiejętności negocjacyjne, a z drugiej partnerskie, ale także konsekwentne traktowanie wszystkich badaczy i budowanie z nimi od samego początku szczerzej relacji: muszą znać wymagania zleceniodawcy, świadomie je zaakceptować i dotrzymując założonych termi-

nów, dostarczyć poszukiwanych informacji. Jednocześnie warto te wymogi uznać za program minimum, nic wszak nie stoi na przeszkodzie, by badacz poszukał w terenie tego, co go szczególnie interesuje i rozbudował swój raport o szerszy kontekst, nie ograniczając się jedynie do zagadnień ważnych dla zleceniodawcy badań.

Dylemat piąty: jak zbudować relacje z badanymi?

W badaniach na zlecenie instytucji publicznych relacje z badanymi dostarczają całej puli dylematów. Pierwszy z nich dotyczy skutecznego zapewnienia anonimowości. W projektach prowadzonych na zlecenie instytucji publicznych badań to bardzo często konkretne, wskazane przez zleceniodawcę osoby, badacz ma istotnie ograniczone pole manewru w tym zakresie. Często trzeba docierać do przedstawicieli konkretnych instytucji, albo tak zwanych końcowych beneficjentów projektu, a przecież zlecająca badania instytucja i zatrudnieni w niej urzędnicy doskonale wiedzą, jak się ci ludzie nazywają, kogo reprezentują albo gdzie mieszkają i jaka jest ich rola w projekcie. Dodatkowo obowiązuje – skądinąd słuszna – zasada, że wyniki badań prowadzonych za publiczne pieniądze powinny być upubliczniane. Oczywiście wiele w tym zakresie zależy od stosowanych metod i technik badawczych, z oczywistych względów anonimowość respondentów w badaniach ilościowych nie jest zagrożona, natomiast znacznie trudniej ochronić ją, gdy na przykład stosujemy metodę studium przypadku. Przekonanie o nadrzędności dobra badanych czasem prowadzi do sytuacji, gdy publikowane raporty badawcze są w znacznym stopniu niekomunikatywne, bo

konieczne było mocno wystandardyzowane zakodowanie członków opisywanych społeczności. Co gorsza, badacze właściwie nawet wtedy nie są do końca pewni, czy opisy badanych środowisk w połączeniu z oczywistą wiedzą zleceniodawców nie umożliwią im jednak rozkodowania tożsamości badanych, zwłaszcza, że w raportach często cytowane są ich wypowiedzi.

Drugi dylemat, jaki rysuje się w kontaktach z badanymi dotyczy podmiotowego ich traktowania. Jak było już wspomniane, badani w tego rodzaju projektach często myślą badaczy z ewaluatorami, a nawet kontrolerami. Z jednej strony czasem powoduje to trudny do pokonania dystans (np. u osób odpowiedzialnych za realizację jakiegoś działania projektowego), a z drugiej, zwłaszcza u osób niezadowolonych z przebiegu projektu, oczekiwanie, że badacz spowoduje, że coś się zmieni. W skrajnym przypadku, czego doświadczyłam osobiście, może się nawet zdarzyć, że badani traktują badaczy jak osoby mające bezpośredni wpływ nie tylko na realizację projektu, ale nawet na zmianę uznawanych przez nich za niewłaściwe rozwiązań legislacyjnych. Jak się łatwo domyślić, konfrontacja z tego rodzaju oczekiwaniami nie jest dla badaczy łatwa, stawia ich w dwuznacznej i niekomfortowej sytuacji, wymaga specyficznych kompetencji perswazyjnych, a i tak czasem nie udaje się sytuacji na tyle wyjaśnić, by możliwe było kontynuowanie badania. Jest to zarówno kwestia dbałości o podmiotowość i komfort badanych, jak i istotnego problemu dla realizacji badania – bywa, że zniechęceni badani są niezastępowalni, co w projekcie o jasno określonych celach badawczych przysparza nie lada problemów.

Inna związana z podmiotowością badanych kwestia dotyczy niechcianych odzwierciadlań. W jednym z badań, w których uczestniczyłam, przedstawiciele konkretnych instytucji lokalnych zostali przez zleceniodawcę zobowiązani do zrekrutowania badanych osób. Niestety, ich działania okazały się dalekie od podmiotowego ich traktowania, świadczyły raczej o bardzo przedmiotowym, czy wręcz nieetycznym podejściu do tych osób. W efekcie to na badaczach spoczywała odpowiedzialność za naprawienie relacji z badanymi, czasem, co oczywiste, okazywało się to niemożliwe.

Wspomniana wyżej niezastępowalność badanych prowadzi niekiedy do kolejnego dylematu – do jakiego stopnia badacz może zmienić procedurę badania, aby w ogóle mieć szansę zrealizowania wywiadu z takim rozmówcą? Z jednej strony dotyczy to kwestii technicznych i formalnych związanych ze zleceniem: na ile konieczność zastąpienia wywiadu osobistego rozmową telefoniczną jest uprawnione? Czy nagła konieczność skrócenia zaplanowanego na godzinę wywiadu do 20 minut (bo np. przyjmujący nas w swoim gabinecie urzędnik musi zająć się innym zadaniem albo po prostu traktuje to jako wymówkę, aby nie odpowiadać na trudne dla niego pytania) pozwala przyjąć zebrany materiał za wiarygodny analitycznie? W którym momencie takie zdarzenia należy zaklasyfikować jako niezrealizowanie wywiadu (a więc także niepełne zrealizowanie zlecenia, co może mieć konsekwencje finansowe dla badacza), a kiedy jako dopuszczalne odstępstwo?

Jednak kwestia ta ma szerszy, niż tylko formalny, kontekst: to kolejny dylemat bezpośrednio dotyczą-

cy relacji z badanym: wszak w obrębie podstawowej wolności badanego leży prawo odmowy odpowiedzi na konkretne pytania, przerwanie relacji z badaczem w dowolnym momencie, a nawet całkowity brak zgody na udział w badaniu. W sytuacji, gdy zleceniodawca jednoznacznie określa listę badanych, czasem całkowicie niezastępowalnych (np. w powiecie jest tylko jeden starosta), sytuacja w pełni uprawnionej odmowy badanego stawia badacza w trudnej sytuacji. Warto takie sytuacje przewidywać i w koncepcji badawczej zawrzeć jednak, uzgodnione ze zleceniodawcą „koła ratunkowe”, określające możliwe odstępstwa od przyjętej procedury badawczej.

Kolejny dylemat w zakresie relacji z badanymi dotyczy kłopotów z obiektywizmem. W badaniach na zlecenie instytucji publicznych badacz często styka się ze środowiskami lub grupami, z którymi po prostu sympatyzuje albo – przeciwnie – do których jest uprzedzony (np. w wyniku przeprowadzonego wcześniej *desk research*). Mówiąc wprost, badacz bywa często zaangażowany po jednej stronie, „kibicując” obserwowanym działaniom, a jednocześnie dostrzegając konotowane przez niego negatywnie zachowania osób z otoczenia społecznego, które te działania utrudniają. W skrajnych sytuacjach, poprzez nabranie zaufania do jednej strony (np. lokalnego konfliktu, co nie jest rzadkie w przypadku wprowadzania nowatorskich działań społecznych, często stanowiących przedmiot badań na zlecenie) badacz może ulec mimowolnej manipulacji, nie tylko w ocenie obserwowanych zjawisk, ale nawet w doborze badanych – kierując się do tych, których wskażą mu zaufani badani. Oczywiście tego rodzaju dylematy mogą do-

tknąć każdego badacza, jednak w badaniach na zlecenie to ryzyko jest szczególnie ze względu na wspomniane wcześniej generalne zaangażowanie po stronie prowadzonych przez zleceniodawcę działań. Mamy tu zatem do czynienia z odmiennym niż ma to miejsce w przypadku klasycznych badań naukowych zagrożeniem, polegającym na *podkreślaniu elitaryzmu* badaczy i stanowiącym **źródło upośledzenia** badanych (Pielasińska 1997: 9). Badacze zaangażowani w badania na zlecenie ryzykują inaczej: że poprzez zbytne „zaprzyjaźnienie się” z niektórymi badanymi mogą ulegać ich wpływowi, a tym samym nieświadomie zafałszować wyniki badań.

A zatem: badać? Nie badać?

Powstaje zasadnicze pytanie, co w tej sytuacji robić. Angażować się w tego rodzaju badania czy nie? Przytoczmy najpierw najważniejsze argumenty „na nie”.

Oprócz wszelkich opisanych w tekście ograniczeń, jakim podlega naukowiec, nie sposób pominąć może najważniejszego źródła frustracji, jakie stanowi fakt, że badania na zlecenie często bywają przez zlecające je instytucje traktowane w charakterze koniecznego (bo wymaganego przez tego, kto finansuje projekt) „listka figowego”, swoistego zapisanego w formalnych wymogach alibi, a ich efekty, mimo różnego rodzaju zapewnień, często pozostają niewykorzystane. Nie zawsze dzieje się tak z winy bezpośredniego zleceniodawcy, często po prostu ramy projektu faktycznie uniemożliwiają skorygowanie działań, co pozwoliłoby realizatorom praktycznie wykorzystać wnioski badawcze.

Najważniejsze ograniczenia w tym zakresie biorą się z konieczności przesunięć w harmonogramie działań lub, co gorsza, w budżecie, co grozi spowodowaniem na realizatorów projektu największego zagrożenia, jakim jest niekwalifikowalność kosztów. Tym samym coś, co miało służyć praktyce, w rzeczywistości zostaje „w szufladzie”. Oczywiście badania naukowe ryzyko takiej nieprzekładalności na praktykę mają wpisane w jeszcze większym stopniu. Jednak wówczas badacz wie to od samego początku i, jak to było powiedziane, w swoich decyzjach badawczych pozostaje w pełni autonomiczny, a cel, który sobie stawia, to przede wszystkim dowiedzenie się o badanej rzeczywistości tego, co go interesuje, często bez zakładania praktycznego wykorzystania zdobytej wiedzy. Ponadto, prowadząc swoje badania w pełni autonomicznie, naukowiec zawsze, bez żadnych ograniczeń może dysponować ich wynikami i opublikować je w dowolnym miejscu, podczas gdy w umowach ze zlecającymi często pojawiają się zapisy, które taką swobodę istotnie ograniczają.

Na tym jednakże nie koniec – paradoksalnie, niewykorzystywanie efektów dotyczy nie tylko samego komponentu badawczego, ale wręcz całego projektu, zdobytych doświadczeń, przeprowadzonych w jego ramach działań i tak dalej. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że instytucje publiczne w istotnym stopniu podlegają uwarunkowaniom politycznym. Konkretny minister może być przekonany o konieczności wprowadzenia pewnego typu działań, rozumieć ich słuszność, a nawet opłacalność (nie tylko społeczną, także w ścisłym ekonomicznym znaczeniu), jednak po prostu nie uzyskuje zgody ministra finansów, dla którego

kluczowe pozostaje doraźne zbilansowanie budżetu, a nie myślenie przyszłościowe, być może dla przyszłych oszczędności wymagające właśnie dzisiaj poniesienia konkretnych wydatków na rzecz społecznych inwestycji. Nie musi się to zresztą odbywać na tak wysokim szczeblu, analogiczny proces może zaistnieć nawet na poziomie gminy czy powiatu, na tych szczeblach też zawsze pojawia się jakiś „minister finansów” stojący na straży wydawanych tu i teraz pieniędzy. W efekcie dochodzi do sytuacji, że projekt, często sfinansowany z pieniędzy pochodzących z zewnątrz (np. unijnych) po prostu nie znajduje praktycznego przełożenia budżetowego i legislacyjnego. Analogiczne zagrożenie niesie ze sobą zasada kadencyjności władz: niestety, szansa na to, że działania zapoczątkowane przez poprzednią ekipę będą przez ich następców kontynuowane nie jest wielka. Z doświadczenia wiem, jak bardzo taka sytuacja jest dla badacza frustrująca. Zwłaszcza gdy w imię służby celom praktycznym zgodził się on na wiele, często daleko idących kompromisów.

Czy zatem uczciwość wobec samego siebie, wobec standardów naukowości i wreszcie wobec wartości, które uznajemy za słuszne w życiu społecznym (należy wszak do nich także niemarnowanie zasobów) prowadzi do wniosku, że badacze społeczni powinni pozostawać jak najdalej od angażowania się w badania na zlecenie? Nie pokuszę się o odpowiedź na to pytanie, jednak warto przyjrzeć się argumentom przemawiającym za tym, by jednak, mimo wszystko naukowcy podejmowali się takich zadań. Argumenty „na tak” można podzielić na dwie grupy: natury osobistej oraz dotyczące tak zwanego interesu społecznego.

Argumenty natury osobistej dotyczą przede wszystkim kwestii finansowych. Chodzi nie tylko o finansowanie badań, czyli opłacanie przejazdów, noclegów czy transkrypcji. Bardzo często są to wszak badania należące do obszaru zainteresowań naukowców, które inaczej byłoby im bardzo trudno zrealizować. To także wsparcie organizacyjne, które istotnie ułatwia prowadzenie badań, na przykład poprzez umożliwienie dotarcia do wielu hermetycznych środowisk, co bez uwiarygodnienia przez publicznego zlecającego często byłoby albo niemożliwe (np. w przypadku niektórych urzędników) albo bardzo trudne i czasochłonne (np. w przypadku osób ze środowisk defaworyzowanych, co oczywiście, o czym była mowa w rozdziale dotyczącym relacji z badanymi, może mieć także skutki negatywne). Nie bez znaczenia jest też możliwość sfinansowania publikacji i udziału w konferencjach, w ramach tak zwanego upowszechniania efektów projektu.

To wszystko ma oczywiście przełożenie na rozwój zawodowy – prowadząc takie badania, można budować zarówno swoje doświadczenie, jak i całą karierę naukową, a tym samym wypełniać wymogi dotyczące zdobywania stopni naukowych. Ponadto, co można uznać za argument *last but not least*, nie bez znaczenia jest możliwość zarabiania pieniędzy: badacze w projektach realizowanych na zlecenie instytucji publicznych bywają (jak wynika z moich doświadczeń) zupełnie dobrze opłacani. Oczywiście zdają sobie sprawę, że nie zawsze tak się dzieje, zwłaszcza gdy – co niestety jest bardzo rozpowszechnioną praktyką – najważniejszym kryterium w ocenie ofert stanowi cena.

Nie sposób pominąć też argumentów bardziej ogólnej natury. Jeśli uznamy, że koszty zaangażowania badaczy w realizację badań na zlecenie instytucji publicznych są zbyt duże i nie należy godzić się na tak daleko idące kompromisy, będzie to oznaczać nie tyle brak tego rodzaju badań (one po prostu stanowią często wymóg formalny, który musi zostać spełniony, by możliwe było uzyskanie finansowania całego projektu), lecz obniżenie ich jakości. Zawsze znajdzie się ktoś, kto takie badania przeprowadzi, choćby firmy często bardzo doświadczone w realizacji badań marketingowych, jednak – co oczywiste – nie dysponujące *backgroundem* naukowym, zwłaszcza w zakresie złożonych zagadnień społecznych. Warto zastanowić się nad skutkami takich działań. Paradoksalnie, mniejsze zagrożenie stanowi sytuacja, w której tak przeprowadzone badania nie zostaną wykorzystane przez realizatorów projektu. Oznaczać to będzie po prostu zmarnowanie pieniędzy publicznych. Jednak prowadzone na zlecenie instytucji publicznych badania często wymagają bezpośredniego kontaktu z grupami bardzo wrażliwymi, a ich tematyka też zwykle jest znacznie bardziej skomplikowana (np. sposób i zakres podejmowanych interwencji społecznych) niż kwestia na przykład preferencji w zakresie używania lub nie produktów jakiejś marki. Kontakt z niedoświadczonymi w tym zakresie badaczami, pracownikami firm komercyjnych (z natury rzeczy nastawionych przede wszystkim na osiągnięcie zysku) może być trudny przede wszystkim dla badanych – często sfrustrowanych, choćby z powodu przynależności do grup dotkniętych różnego rodzaju problemami społecznymi. Powstaje zatem pytanie o poczucie odpowiedzialności badaczy społecznych za sferę publiczną.

Zamiast podsumowania

Na koniec można sformułować kilka uniwersalnych zaleceń. Nie mają one oczywiście charakteru wskazań ściśle etycznych, raczej dotyczą tego, jak badacz może odnaleźć się w rzeczywistości badań realizowanych przez niego na zlecenie instytucji publicznej.

Pierwsze zalecenie dotyczy samoświadomości badacza, dotyczącej tego, jakie ograniczenia go dotyczą – na ile oraz w imię jakich celów ograniczana jest jego swoboda badawcza. Moje doświadczenia pokazują, że otwarta postawa, unikanie swoistego protekcyjnego tonu w rozmowach mających na celu ustalenie ze zleceniodawcą przebiegu badań, powstrzymanie się od jego otwartej krytyki i stosowanie raczej miękkiej metody drobnych kroków często pozwala uzyskać znacznie większą swobodę badawczą niż wynika to z dokumentacji projektowej. Tej samoświadomości musi jednak towarzyszyć swego rodzaju czerwona linia, *non possumus*, której badacz nie przekroczy, nawet za cenę rezygnacji (własnej lub na skutek decyzji zleceniodawcy) z udziału w projekcie. Każdy naukowiec, podejmując się badań na zlecenie, powinien taką granicę umieć sobie wyznaczyć.

Bibliografia

Jawłowska Aldona (1998) *Kultura w okresie przełomu lat dziewięćdziesiątych* [w:] Andrzej Siciński, red., *Do i od socjalizmu*. Warszawa: IFiS PAN, s. 134–156.

Olejniczak Karol (2008) *Wprowadzenie do zagadnień ewaluacji* [w:] Marek Kozak, Bartosz Lendzion, Karol Olejniczak, (red.), *Teoria i praktyka ewaluacji interwencji publicznych*. Podręcznik akademicki,

Drugie zalecenie dotyczy podejmowania przemyślanych decyzji metodologicznych oraz dostrzegania, zrozumienia i akceptowania ich konsekwencji. Chodzi o nieustanną czujność i kontrolowanie procesu badawczego. Ostatecznej oceny badań na zlecenie nie dokonują jednak naukowcy, lecz zleceniodawcy, z natury rzeczy nastawieni na efekt i praktyczność rekomendacji, a w najgorszym razie nawet tylko na biurokratyczną i finansową zgodność z wytycznymi projektu, nie zaś na poprawność naukową, na której po prostu się nie znają. Dlatego tego typu badania niosą w sobie szczególne ryzyko metodologicznego nihilizmu i pokusę łatwego uzasadnienia każdej decyzji metodologicznej.

Na koniec pozwolę sobie sparafrazować maksymę osiemnastowiecznego francuskiego pisarza i moralisty Sébastiena-Rocha Nicolasa de Chamforta, która oryginalnie mówi, że „żyje się za pieniądze, ale nie należy żyć dla pieniędzy”. Myślę, że wiele dylematów pozwoli nam – badaczom społecznym – rozstrzygnąć przyjęcie zasady, że badania, niezależnie od okoliczności i przyjętych założeń, prowadzimy co prawda za pieniądze, ale nie dla pieniędzy.

Warszawa: Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Akademia Leona Koźmińskiego, s. 17–44.

Pielasińska Wiesława (1997) *Monitoring jako próba aktywizowania środowisk lokalnych* [w:] Wiesława Pielasińska, red., *Edukacja kulturalna w środowisku wsi i małego miasta*. Warszawa: Instytut Kultury, s. 8–13.

Cytowanie

Dudkiewicz Magdalena (2016) *Dylematy etyczne badań prowadzonych na zlecenie instytucji publicznych – doświadczenia badacza terenowego*. „Przegląd Socjologii Jakościowej”, t. 12, nr 3, s. 136–147 [dostęp dzień, miesiąc, rok]. Dostępny w Internecie: <www.przegladsocjologiijakosciowej.org>.

The Research Conducted For Public Order-Givers. Ethical Dilemmas–Experiences Of a Field Researcher

Abstract: The paper presents experiences and observations concern the positive and negative circumstances of the social sciences representatives involvement in research conducted for public institutions in Poland. The following topics were discussed: the clear definition of the researcher role in those projects, responsibility for actions taken and limitations of research freedom. Author presents dilemmas concerning the relation between researcher and order-givers as well as persons being tested. The unclear status of scientific research in projects conducted by public institutions is also discussed. Finally the pros and cons are presented to give the opportunity for further discussion on involvement of scientists in public projects.

Keywords: public institution, social role of scientist; relation researcher vs researchee